

Niesprawiedliwości stało się zadość

29 maja 2014

W cywilizowanych krajach przyjęło się, że państwo powinno wspierać grupy słabsze ekonomicznie. Ma to wielorakie uzasadnienie i aż trudno wymienić wszystkie argumenty przemawiające za takim kierunkiem działań. Przede wszystkim upośledzenie majątkowe niektórych obywateli zawsze odbija się na całym społeczeństwie. W efekcie cierpią na tym nawet ci, którym powodzi się doskonale. Ponadto, wbrew naiwnym teoriom „sytych i zadowolonych”, powodzenie życiowe wcale nie jest efektem wyłącznie talentu i ciężkiej pracy. Nie jest wielką zasługą (ani też winą, podkreślam) młodego przedsiębiorcy, że odziedziczył dobrze funkcjonującą firmę po rodzicach. Dobrze zapowiadający się młody naukowiec przypuszczalnie dużo mniej by osiągnął, gdyby nie zapobiegliwi rodzice, od najmłodszych lat dbający o jego gruntowne wykształcenie. Takiego wsparcia nie mógłby otrzymać już chłopak z ubogiej rodziny – i analogicznie, nie jest tylko jego winą, jeśli zakończy edukację na wcześniejszym etapie, a jego dostęp do dobrze płatnej pracy będzie ograniczony. M.in. dlatego, by kolejne przychodzące na świat osoby w możliwie najmniejszym stopniu musiały odczuwać na własnej skórze błędy lub nieszczęścia swych przodków państwo staje po stronie warstw upośledzonych. Ze świadomością, że szanse na starcie i tak nigdy nie będą idealnie równe.

Zdawałoby się, że w Polsce, a więc kraju, który od 10 lat jest częścią Zjednoczonej Europy, filozofia działania państwa powinna być podobna. Otóż nie jest. Pół biedy, gdyby nasze państwo traktowało „wygranych” i „przegranych” chociaż jednakowo. Niestety nawet to nie ma miejsca. W Polsce przyjęto rozwiązania ewidentnie wspierające tych, którzy są ekonomicznie dobrze sytuowani. Innymi słowy, warstwy o najwyższym statusie materialnym są dodatkowo uprzywilejowane

przez państwo. Dotyczy to przede wszystkim polskiego systemu podatkowego, który, o zgrozo, ma charakter regresywny – a więc umożliwia najzamożniejszym płacić proporcjonalnie niższych danin na rzecz swojej wspólnoty politycznej. Co nie przeszkadza im najgłośniej wymądrzać się o tym, jak ta wspólnota powinna wyglądać.

Progresywny system fiskalny, w którym bogatsi oddają państwu większą część dochodów niż gorzej sytuowani, jest najlepszym środkiem zmniejszania rozwarstwienia ekonomicznego. Rozwiązanie to opiera się na prostej konstatacji: odebranie dodatkowych 10% dochodu osobie bogatej niespecjalnie wpłynie na obniżenie jej standardu życia (jeśli w ogóle), za to pozostawienie tych 10% w kieszeni osoby ubogiej może wręcz uratować jej życie. W Polsce formalnie obowiązuje dwustopniowa progresja ze stawkami 18 i 32%. Jak widać, nawet na papierze jest ona bardzo płaska. W Europie Zachodniej najwyższa stawka podatkowa jest z reguły zdecydowanie wyższa. I nie mówię tu tylko o państwach skandynawskich, gdzie wynosi ona powyżej 50% (np. w Szwecji 56%), ale np. o państwach takich jak Włochy (45%), Niemcy (także 45%) czy Hiszpania (42%). Co gorsza, w Polsce owa progresja jest czystą fikcją, listkiem figowym dla rządzących, którzy znany sobie sposobem mogą zawsze umyć ręce i stwierdzić, że nie mogą nic zrobić z rosnącym rozwarstwieniem społecznym. Tymczasem podatek dochodowy według stawki 32% płaci zaledwie... 2% podatników. Jako że próg dochodowy dla niej wynosi trochę ponad 7 tys. zł miesięcznie, od razu widać, że rzesze zamożnych obywateli omijają najwyższą stawkę szerokim łukiem. Najpopularniejszym z nich jest przechodzenie na 19-procentowy podatek liniowy dla przedsiębiorców. Z furtki tej korzysta ochoczo choćby przechodząca na samozatrudnienie rodzima klasa menedżerska, zarabiająca, lekko licząc, dziesiątki tysięcy złotych miesięcznie (lub więcej, oczywiście). Zatrudnieni na stanowiskach kierowniczych rozliczają się tak, jak osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą, choć ich praca nie przypomina żadnej działalności gospodarczej. Nasza skala

podatkowa jest więc w istocie trzystopniowa – 18% dla większości Polaków, 19% dla zarabiających powyżej ok. 85 tys. zł rocznie, no i 32% dla tej garstki dobrze wynagradzanych, którym przyzwoitość nie pozwala jawnie oszukiwać wspólnoty.

To jednak nie wszystko. Naszą formalną progresję podważa w praktyce kolejne rozwiązanie dogodne dla wybrańców. My, małuczcy, myślimy sobie, że składki ZUS płaci się od całości swych zarobków. Wolne żarty. Zapobiegliwa władza ustanowiła granicę oskładkowania na poziomie 112 tys. zł rocznego dochodu. Po przekroczeniu tej kwoty składki przestają być naliczane – jak rozumiem, żeby zbytnio naszych krezusów nie przeciążyć. Jeszcze się, nie daj Bóg, obrażą i też przejdą na liniową skalę. Bo wspomnianych wcześniej „samozatrudnionych w korpo” ta granica w ogóle nie dotyczy – oni rozliczają się z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych na zasadach przyjętych dla przedsiębiorców, czyli płacą ok. 1000 zł składki miesięcznie. A więc np. dyrektor samozatrudniony w banku, zarabiający 50 tys. zł miesięcznie, płaci składki na ubezpieczenie społeczne na poziomie... 2%. Tak, to nie pomyłka: dwóch procent.

Przejdźmy teraz do naprawdę grubych graczy – zarabiających nawet nie setki tysięcy, ale miliony złotych rocznie. Oni oczywiście nie zarabiają na swojej pracy (nie chcę przez to powiedzieć, że nie pracują), lecz czerpią zyski z kapitału. Czyli np. z gry na giełdzie, odsetek z lokat, inwestycji w nieruchomości i – przede wszystkim – z otrzymywanych dywidend, czyli przypadającej im części zysków spółek, których udziały posiadają. Ci milionerzy płacą tak zwany podatek od dochodów kapitałowych lub podatek od dywidend. Podatek oczywiście liniowy. I oczywiście niezbyt wysoki – stawki obu podatków wynoszą 19%. W tzw. cywilizowanym świecie podatek od dochodów kapitałowych jest z reguły większy – przykładowo, w Niemczech wynosi 25%, w państwach Skandynawii około 30%, nawet w liberalnej Irlandii ustanowiono 25-procentową stawkę. Tymczasem w Polsce milioner płaci podatek dochodowy według stawki o 1% większej niż osoba pracująca za płacę minimalną. Z

tą różnicą, że pracujący za „najniższą krajową” musi jeszcze zapłacić składki zusowskie, a bogacze, o których tu mowa, składek nie płacą, ponieważ dochody kapitałowe nie są obciążone składkami.

Podatek dochodowy od osób fizycznych w Polsce stanowi zaledwie kilka procent PKB. A więc jest on zaledwie dopełnieniem przychodów budżetowych. W państwach, którym sprawiedliwy porządek społeczny leży na sercu, budżet oparty jest przede wszystkim właśnie o PIT, gdyż, jak wspominałem, jest on najlepszym narzędziem ograniczania rozwarstwienia. Tymczasem Polska poszła w kierunku odwrotnym i oparła swoje dochody podatkowe o podatki pośrednie, przede wszystkim VAT. Według budżetu na rok 2014, wpływy z podatku VAT mają stanowić 47% przychodów budżetowych, a wszystkie podatki pośrednie (czyli np. akcyza) – 72%. Podatek PIT stanowi jedynie 18% wpływów podatkowych zaplanowanych na 2014 rok. Właśnie oparcie budżetu o VAT jest kolejnym elementem regresywnego charakteru polskiego systemu podatkowego. Podatek VAT obciąża bowiem proporcjonalnie w największym stopniu najbiedniejszych obywateli, ponieważ w zasadzie całe swoje dochody (nie licząc stałych opłat) przeznaczają oni na bieżącą konsumpcję – z tej prostej przyczyny, że na nic więcej im nie starcza. Inaczej mówiąc, ubodzy płacą VAT od największej części swego dochodu, podczas gdy zamożniejsi pieniądze odkładają, lokują na indywidualnych kontach emerytalnych, inwestują na rynkach kapitałowych, wydają zagranicą itd. Oparcie systemu na podatkach pośrednich jest więc kolejnym dowodem na to, że państwo polskie sprzyja dobrze sytuowanym, kosztem warstw słabszych.

Kolejne przyjęte w Polsce fatalne rozwiązanie dotyczy podatku od nieruchomości. Podatek od nieruchomości jest najprostszym sposobem opodatkowania majątku, gdyż domu czy działki nie da się wyprowadzić za granicę. Tyle że w Polsce podatek ten wymierza się nie od wartości nieruchomości, lecz od jej powierzchni. Prowadzi to do takich absurdów, że ktoś, kto ma

stary, rozpadający się 300-metrowy dom w Katowicach na Janowie, zapłaci 201 zł podatku, zaś posiadacz pięknej, nowiutkiej 200-metrowej willi na katowickim Brynowie, będzie musiał przelać na konto katowickiego magistratu o 70 zł mniej. Jest to o tyle zastanawiające, że już „budowle” (wg prawa podatkowego różnią się od budynków m.in. tym, że nie są stale przywiązane do ziemi lub ich konstrukcja nie składa się z czterech ścian i dachu) opodatkowane są według ich wartości. A więc nie ma żadnych realnych przeszkód, żeby także budynki opodatkować według wartości. Niestety w Polsce fakt, że nie ma przeszkód dla zaistnienia jakiegoś dobrego rozwiązania, nie jest jeszcze wystarczającym argumentem za tym, by takie rozwiązanie wprowadzono.

W polskim systemie podatkowym duże znaczenie ma rozbudowana sieć różnorakiego rodzaju ulg. Wydawałoby się, że to dobrze – w końcu ulgi pozwalają państwu skierować pomoc tam, gdzie jest to najbardziej potrzebne. Problem w tym, że z wielu ulg mogą skorzystać tylko ci, których na to stać. Mało tego: ci, którzy mogą sobie pozwolić na większy wydatek (czyli bogatsi), w większości przypadków dostaną większą ulgę. Przyjrzyjmy się kilku przykładom: odliczanie od podstawy opodatkowania wpłat na IKZE, czyli Indywidualne Konta Zabezpieczenia Emerytalnego. Oczywiście na taką ekstrawagancję mogą sobie w Polsce pozwolić tylko ludzie zamożni. A im więcej wpłacą, tym bardziej zmniejszą swój dochód przed opodatkowaniem (granica jest na poziomie ok. 4200 zł rocznej wpłaty). Ulga budowlana także jest zarezerwowana dla zamożnych – biedni przecież zazwyczaj nie budują. Na jej podstawie można otrzymać zwrot 65% VAT z przedstawionych faktur. Czyli im większa suma będzie na tych fakturach (co będzie wynikało oczywiście z budowy większego i droższego domu), tym większy będzie zwrot. Jak zatem widzimy, niektóre ulgi podatkowe nie tylko nie zmniejszają rozwarstwienia, ale wręcz je zwiększają.

Koronnym przykładem niesprawiedliwości polskiego systemu podatkowego jest zupełny brak opodatkowania spadków w ramach I

grupy podatkowej, czyli w obrębie najbliższej rodziny. Podatek od spadków ma na celu to, żeby osoby, które miały szczęście urodzić się w zamożnych rodzinach – i przez to są już na starcie mocno uprzywilejowane – podzieliły się częścią swojej spuścizny ze wspólnotą, w obrębie której żyją także ci, którzy takiego szczęścia nie mieli. Oczywiście nie chodzi o to, żeby obciążać wnuczka, który otrzymał 50-metrowe mieszkanie po babci. Aby zabezpieczyć się przed takimi przypadkami wystarczy ustawić kwotę wolną od podatku na całkiem wysokim poziomie: dajmy na to 500 tys. zł. W Polsce mamy jednak do czynienia z sytuacją bez mała patologiczną, w której wielomilionowe majątki mogą być dziedziczone bez zapłacenia nawet złotówki podatku. Takie rozwiązanie jest szczególnie skandaliczne kraju, w którym istotną grupę wśród najbogatszych stanowi uwłaszczona na publicznym majątku nomenklatura minionego reżimu i beneficjenci „złodziejskiej prywatyzacji” lat 1990. Na kompletny absurd zakrawa fakt, że rozwiązanie takie – likwidację opodatkowania spadków – wprowadziło Prawo i Sprawiedliwość, a więc partia, która zarówno dekomunizację, jak i rozliczenie transformacyjnej korupcji trzyma na sztyku.

Powyższy wywód, choć może się wydawać przytłaczająco pesymistyczny, ma jeden pozytywny wydźwięk. Okazuje się mianowicie, że dysponujemy szeroką paletą stosunkowo prostych posunięć, które mogłyby zmienić nasz porządek społeczny na bardziej sprawiedliwy. Są to np.: wprowadzenie czterostopniowego progresywnego podatku dochodowego (15%, 25%, 35%, 45%), który dotyczyłby zarówno pracowników, jak i osób prowadzących działalność gospodarczą; oskładkowanie przedsiębiorców proporcjonalnie do ich dochodów; podniesienie podatków od dochodów kapitałowych i dywidend oraz wprowadzenie ich silnej progresji. W zamian za to można by obniżyć stawkę VAT, co – razem z zaproponowaną zmianą w PIT (najniższa stawka zmniejszona do 15%) – odciążyłoby najuboższych. Należałoby się także zastanowić nad podwyższeniem kwoty wolnej od podatku dochodowego, która obecnie należy do najniższych w Europie.

Dodatkowe ruchy to podatek od nieruchomości wymierzany od jej wartości, zmniejszenie roli ulg oraz opodatkowanie spadków w ramach I grupy podatkowej (ale z odpowiednio wysoką kwotą wolną).

W moim odczuciu powyższe działania realnie zmieniłyby polski porządek społeczny na bardziej sprawiedliwy. Pytanie tylko, czy znajdzie się siła polityczna, która na takie ruchy się zdecyduje. Niestety, przypuszczam, że wątpię.

Autor: Piotr Wójcik

Źródło: [Nowy Obywatel](#)